

TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

Aleksander Bregman
Michał Choromański
Jan Kucharzewski
Jan Lechoń
Wacław Solski
Stanisław Stroński

Vol. 3. Nr. 24 (129)

New York, 17go czerwca — New York, 21, N. Y., June 17th, 1945.

Cena 20 ct.



GENERAL EISENHOWER I GENERAL MACZEK

STANISŁAW STRONSKI (dla "Tygodnika Polskiego" z Londynu)

MISTRZE MOSKIEWSCY

Co prawda to prawda. Każdemu trzeba przyznać to słusznie. Dążeń i działań polityki sowieckiej, także obecnej, pochwała nie podobna. Ale sprawność chwytów wobec ofiar i umiejętność odtrącania ujmujących się za nimi jest niezrównaną. Niema w tym wyznaniu podziwu ni zazdrości. Jest zdumienie, że to możliwe w naszym świecie i w naszej dobie.

Najlepiej ocenić robotę po wynikach.

Rosja postanowiła zagarnąć pod swe władanie całą Polskę, część przez wcielenie do ZSRR., a część przez wyłącznie rządzenie w niej pod pozorami czegoś samodzielnego. I rzeczywiście Rosja od blisko półtora roku na wschodzie Polski a od blisko pół roku na zachodzie Polski włada całkowicie i wyłącznie każdą pięćdziesiątą ziemi polskiej. Kraj, który pierwszy stanął do walki przeciw Niemcom i przez pięć lat nieugięcie walkę tę dalej prowadził, kraj, któremu cały uczciwy świat nie szczędził podziwu i współczucia, kraj, którego powrót do niepodległości miał być kamieniem probierczym zwycięstwa dobrej sprawy, jest, w chwili gdy wojna w Europie skończyła się zwycięstwem Narodów Zjednoczonych, pod najśroźszym uciskiem Rosji.

Narody Zjednoczone, z Wielką Brytanią i ze St. Zj. Ameryki na czele, mają wobec Polski zobowiązania wyrażone w Karcie Atlantyckiej i w innych umowach, a Rosja uczestniczy w tych zobowiązaniach wobec Polski i ma wyraźne zobowiązania wobec Narodów Zjednoczonych. Po zajęciu całej już niemal Polski, Wielka Brytania i St. Zj. Ameryki, na Krymie 12 lutego 1945, upomniały się o swe prawo udziału w sprawach Polski i przeprowadziły we wspólnej uchwale potwierdzenie tego prawa. Od tego czasu, w ciągu pięciu miesięcy, Wielka Brytania i St. Zj. Ameryki nie uzyskały ani zdźbła wpływu na to co się dzieje w Polsce i nie uzyskały dostępu ani jednego Brytyjczyka lub Amerykanina do Polski, która jest odgradzona od świata nieprzeniknioną zasłoną przez srożącą się w niej Rosję.

Z Warszawy i okolicy, zniknęło 28 marca 1945 16tu przewodców polskich, członków Rządu w kraju i przedstawicieli stronnictw, zaproszonych przez władze rosyjskie na narady; nazwiska ich, jako głównie upoważnionych do rozmów, podał Rządowi Sowieckiemu Rząd Brytyjski, uzyskawszy je od Rządu Polskiego w Londynie ze zgodą tych przewodców w kraju; rosyjski płk. Pime-

now, zapraszający ich na narady, przyrzekł im 20 marca 1945, że będą mogli udać się samolotem do Londynu celem porozumienia się z Rządem Polskim. Gdy po tygodniu nie było żadnej wiadomości co się stało z zaproszonymi na narady i gdzie są, Rząd Polski w Londynie, 6 kwietnia 1945, podał ten stan rzeczy do wiadomości, a Rząd Brytyjski oświadczył w Izbie Gmin, że zwraca się niezwłocznie do Moskwy o wyjaśnienie, lecz w ciągu dalszych 30 dni nie było odpowiedzi z Moskwy i żadnej wiadomości. Wreszcie 5 maja 1945, w San Francisco, p. Mołotow wobec nalegań pp. Edena i Stettinius, oświadczył, że przewodcy polscy zostali uwięzieni pod zarzutem działań przeciw armji czerwonej, wobec czego pp. Eden i Stettinius zerwali z oburzeniem rozmowy, a obecnie, po trzech miesiącach, przewodcy niezrównanego pięcioletniego oporu Polski przeciw Niemcom są więźniami Rosji.

Jest to obraz niewątpliwie nieprawdopodobny a jednak najściślej rzeczywisty. A raczej częścią obrazu, gdyż podobny jest los dziesięciu krajów Europy Środkowo-Wschodniej, choć w jej sprawach Narody Zjednoczone, z Wielką Brytanią i St. Zj. Ameryki na czele, nigdy nie zrzekły się prawa głosu i współodpowiedzialności. Poprostu Rosja wyzywająco urąga światu.

Wbrew wszystkiemu, co głoszone, przyrzekano i poręczano, Rosja lekceważąc nawet dwa naczelnie mocarstwa, Wielką Brytanię i St. Zj. Ameryki, robi co chce.

A jak to robi?

Ach, podziwiacie, jak ona to robi! Po uchwałach krymskich z 12 lutego rb., które zatwierdzały oderwanie przez Rosję połowy Polski według układu Ribbentrop-Mołotow z 28 września 1939, oraz, pomijając prawny Rząd Polski, zapowiadały dowolne tworzenie dla Polski nowego rządu przez pp. Mołotowa, Kerra i Harrimana w Moskwie, oburzano się w całym świecie na niesprawiedliwość tych uchwał. Zarazem wyobrażano sobie, że będą one niezwłocznie wykonywane i że niebawem zjawi się jakiś nowy Rząd Polski utworzony przez W. Brytanię, Stany Zjednoczone Ameryki i Rosję. Lecz Rosji ani to było w głowie i rozpoczęła długie spory o znaczenie tych i owych wyrażań w uchwałach krymskich. Po miesiącu, od połowy marca 1945, zapomniano w świecie, że uchwały Krymskie są zabójcze dla Polski, a natomiast zaczęto narzekać na to,

że wogóle Rosja nie zamierza ich wykonywać.

Przecierając oczy, zaczęto się domyślać, że Rosja się nie spieszy, gdyż na Krymie dostała wszystko czego chciała, a mianowicie zgodę pp. Churchilla i Roosevelta na linję Ribbentrop-Mołotow w drodze rozporządzenia się cudzą własnością, a w sprawie rządu w Polsce niczego nie potrzebuje, bo ma swój t. zw. tymczasowy rząd lubelski.

Gdy więc pp. Eden i Stettinius spotkali się w Washingtonie z p. Mołotowem przed naradą w San Francisco — a w dwa i pół miesiąca bezczynności po naradach na Krymie — zaczęli nalegać stanowczo. Nic to nie pomogło. W chwili rozpoczęcia, 25 kwietnia 1945, prac zjazdu w San Francisco, bez udziału Polski, ukazało się urzędowe oświadczenie brytyjsko amerykańskie, stwierdzające zupełną rozbieżność poglądów między W. Brytanią i St. Zj. Ameryki a Rosją w sprawie własnego rządu w Polsce, lecz zarazem zapowiadające dalsze rozmowy w San Francisco.

Lecz tam, w San Francisco, Rosja znowu zagrała po swojemu. Po miesięcznym nieodpowiadaniu na pytania brytyjskie i amerykańskie o 16 zaginionych przewodców polskich i utrzymywaniu wrażenia, że toczą się z nimi narady p. Mołotow zawiadomił 5 maja 1945 pp. Edena i Stettinius, że przewodcy ci zostali uwięzieni. Odpowiedzią obu mężów stanu W. Brytanji i St. Zj. Ameryki było zerwanie rozmów z p. Mołotowem o sprawach Polski.

Jako wyraz oburzenia zerwanie było wyraziste, ale jako działanie polityczne było ono nikłe. Nikt nie zdołał zauważyć by polityka rosyjska martwiła się takim postawieniem sprawy. Przeciwnie, była zadowolona, gdyż chce ona właśnie, by nikt z nią nie naradzał się w sprawie Polski i by ona wyłącznie nią się zajmowała.

I Rosja nadal rządzi w Polsce jak chce.

Przewlekaniem i piętrzeniem trudności, zresztą nietylko w Polsce ale i w innych krajach Europy Środkowo Wschodniej, Rosja zmierza do tego, by w końcu druga strona, znudzona wyczekiwaniem, przyjęła jakieś pozorne ustępstwo, tu czy tam, za dowód dobrej woli i by w tym nastroju Rosja uzyskała w rzeczywistości jeśli nie 100 proc. to 99½ proc. tego co chce, jak zwykle dotychczas bywało od czterech lat jej współudziału w wojnie.

JAN LECHOŃ

P R Z Y P O W I E Ś Ć

Żołnierz, który zostawił ślady swojej stopy
 Na wszystkich niedostępnych drogach Europy,
 Szedł naprzód, gdy nie mogli najbardziej zajadli
 I wdzierał się na szczyty, z których inni spadli,
 Zdobywszy wolność innym dłońmi skrwawionemi,
 Dowiedział się nareszcie, że sam nie ma ziemi.
 I wtedy ktoś rozumny, nie rozumny szalem
 Powiedział mu "Oddawna wszystko to wiedziałem,
 Wiedziałem, że nikt Twoich ran Ci nie odwdzięczy,
 Bo niczem krew co płynie, przy zlocie, co brzęczy
 I nigdy nikt nie liczył leżących w mogile,
 Bo czym jest duch anielski przy szatańskiej sile?
 Jak żal mi, że Ci oczy nareszcie otwarto!
 I powiedz sam mi teraz: Czy to było warto?"
 A żołnierz mileżał chwilę i ujrzał w tej chwili
 Tych wszystkich, co wracali i co nie wrócili,
 Tych wszystkich, którzy legli w cudzoziemskim grobie,
 Co mówili "Wrócimy", nie myśląc o sobie.
 I widzi jakichś jeźdźców w tumanach kurzawy
 I słyszy dźwięk mazurka i tłumu wołanie.
 Dąbrowski z ziemi włoskiej wraca do Warszawy.
 "Czy warto?" Odpowiedział "Ach! Śmieszne pytanie!"

Generałowi Andersowi.

Ś. p.

JERZY PACZKOWSKI

P o e t a

Bohater polskiej walki podziemnej we Francji, uwięziony w sierpniu 1944,
 zakończył w lutym 1945 roku, piękne, bohaterskie i męczeńskie życie.

Żył lat 35.

Hołd jego pamięci składają

Przyjaciele

JAN KUCHARZEWSKI

MICKIEWICZ I WIELKA EMIGRACJA

Przemówienie wstępne, wygłoszone dnia 3 maja rb. w Nowym Jorku na zebraniu publicznem w Polskim Instytucie Naukowym poświęconem uczczeniu pamięci Adama Mickiewicza

Zebraliśmy się w dniu 3 maja, by uczcić pamięć Adama Mickiewicza. Politycznym testamentem dawnej Polski nazywa Ustawę 3 Maja Mickiewicz w emigracyjnym piśmie "Pielgrzym Polski" z 1833 roku. Dziś, w ciężkiej dobie otwieramy testament 3 Maja i testament Mickiewiczowskiego ducha — obydwą głoszą jedno. Gdy Polacy zapisują krwią, cierpieniem, pracą ducha mowę karty nieskończonej epopei narodowej, szukać muszą natchnień i otuchy w spuściźnie 3 Maja i w spuściźnie Mickiewiczowskiej wieszczby — to ogniwa jednego łańcucha dziejów. "W czasie długiej niewoli — pisze Mickiewicz o Ustawie 3 Maja w "Pielgrzymie Polskim" — dzień jej obchodzono potajemnie we wszystkich prowincjach dawnej Polski, od Karpat aż do Dżwiny, w domach, kościołach, na zgromadzeniach młodzieży."

"Jakież było ówczesne życzenie Polski? pyta Mickiewicz, biegnąc myślą do 3 Maja 1791 roku. "Położyć kres bezładowi... przez wmacnianie władzy centralnej z jednej strony, z drugiej przez rozszerzenie praw obywatelstwa na wszystkie klasy ludzi; odzyskać niepodległość i stracone stanowisko w Europie przez ugruntowanie w Polsce zasad wolności, śmiertelnych despotom, nieprzyjaciółom Polski!"

Wyczytuje Mickiewicz w Ustawie 3 Maja kilka kardynalnych życzeń narodu. "Pierwszem życzeniem jest wojna ze wszystkimi ciemiężycielami Polski. Bo Konstytucja nigdzie nie gwarantuje zaborów dawnych, owszem protestuje przeciwko nim przez wszystkie swój układ".

Wojna ze wszystkimi ciemiężycielami Polski... Lecz Mickiewicz, wierny idealizmowi swej epoki i wierze w to, że ludy dążą do wolności powszechnej, odróżniał w państwach, ciemiężących Polskę, dwa żywioły — despotów i ludy. Znakomity poeta rosyjski Puszkina w swym wierszu o Mickiewiczu, przebywającym na emigracji polistopadowej, rzuca słowa: teraz głosi on nienawiść ku nam.. Zaufajmy bezstronniejszemu świadectwu. W 1851 roku wyszła w świat **Legenda o Kościuszcze** znakomitego historyka francuskiego, kolegi Mickiewicza z wykładów w College de France, Juliusza Micheleta. Z podniosłem wzruszeniem opisuje autor scenę z wykładów Mickiewicza, które

odbywały się w okresie od 1840 roku do 1844 roku; sto lat z górą dzieli nas od tego wydarzenia.

"Mieliśmy przed oczyma naszymi cud, fakt niestychny, zdumiewający, na którego wspomnienie pot występuje na mnie. College de France było rzeczy tej świadkiem; przez nią katedra ta stała się świętą. Mówię o dniu, kiedy widzieliśmy, słyszeliśmy wielkiego poetę Polski, jej znakomitego przedstawiciela przez geniusz swój i serce, jak składał, w obliczu Francji, ofiarę ze swych najbardziej prawowitych nienawiści i głosił o Rosji słowa braterskie. Obecni przy tem Rosjanie byli jakby piorunem rażeni i wzrok swój utkwili w ziemi. My zaś, Francuzi, poruszeni do głębi duszy, zaledwie śmieliśmy podnieść oczy na nieszczęśliwych słuchaczy polskich, siedzących na ławkach obok nas. Jakież boleści, jakiej nędzy brakło w tym tłumie? O, ani jednej. Niedola świata była tu w całej pełni. Wygnańcy, banici, skazańcy wiekiem złamani, żyjące szczątki dawnych czasów, bojów, biedne w podeszłym wieku niewiasty w prostej odzieży, księżniczki wczoraj, dziś robotnice; wszystko stracone, stanowisko, fortuna, krew, życie; ich mężowie, synowie pogrzebani na polach bitew, w kopalniach Sybiru. Ich widok przesywał serce. Jakież siły potrzeba było, jakiej ofiary olbrzymiej i jakiego bólu, aby tak do nich przemawiać, wydobyć z nich zapomnienie i przebaczenie, wydrzeć to, co im pozostało, ostatni ich skarb — nienawiść... To tajemnica orła białego, który spuszcza deszcz własnej krwi i zbawia orła czarnego".

* * *

W dwa lata po wyjściu w świat książki Micheleta głośny emigrant rosyjski Aleksander Hercen postanowił założyć w Londynie Wolną Drukarnię Rosyjską; w niej drukowane było znane pismo emigracyjne rosyjskie "Dzwon" (Kołokoł). Emigranci polscy w Londynie, ze Stanisławem Worcellem na czele przyszli z pomocą Rosjanom i, dzięki wydatnej ich pomocy, rozległo się wolne słowo rosyjskie na obojętnie. Uchodźcy polscy ofiarowali na usługi wolnego słowa rosyjskiego cały swój aparat techniczny, od dwudziestu lat z górą istniejący, rozpowszechniali publikacje rosyjskie i przesyłali je wiadomymi im drogami do państwa

TYGODNIK POLSKI

is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at

806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.

Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription
Monthly \$0 cents
Half yearly \$4.80 Yearly \$9.50

"Entered as second-class matter
April 27, 1944 at the post office
at New York 1, New York, under
the Act of March 3, 1879"

rosyjskiego. O tych drogach poucza nas znany wiersz Mickiewicza: "Więc mimo carskich grózb — Na złość strażnikom ceł — Przewozi w Litwę Żyd — Tomiki moich dzieł". "Wdzięczność moja i Rosji po wszystkie wieki dla Polski" były słowa Hercena. Jako uroczystą inauguracją współpracy z emigracją polską, wydrukował Hercen z 1853 roku rzecz: Polacy przebaczą nam (Polaki proszczajut nas). Oto ona:

"Krew łzy, walka rozpaczliwa i kłeska sprzęgły Polskę i Rosję. Kawalami rwała Rosja żywe ciało Polski, odrywała prowincję za prowincją i jak ni-uchwalne nieszczęście, jak chmura złowróżbna przysuwała się coraz bliżej a bliżej ku jej sercu. Gdzie nie mogła wziąć siłą, brała podstępem, sprzedawała za oieniądze własnym swym wrogom i dzieliła się z nimi zdobyczą..."

"Warszawa i Stambuł były to dwie dręczące mary, dwa widma zwodnicze, nie dające spać carom w ich zimowym pałacu".

Polska powstała w 1830 roku i uległa przemocy.

"Zduszeni przez siłę, zaprzędani przez rządy zachodnie i przez własnych zdrajców, Polacy, walcząc krok za krokiem ustępowali. Przeszedłszy granicę, zabrali ze sobą ojczyznę i, nie uchylwszy głowy, dumnie i ponuro nieśli ją przez świat. Europa rozstała się z uszanowaniem przed trymfalnym pochodem mężnych wojowników. Narody wychodziły naprzeciw nim z pokłonem. Królowie ustępowali na bok, by zrobić im przejście. Europa ocknęła się na chwilę od głosu ich kroków. Szlachetny obraz wychodzącego polskiego, tego krzyżowca wolności, pozostał w pamięci narodów. Dwadzieścia lat przeszło na obecnej ziemi,

w niedostatku i nędzy, pracując w pocie czoła na nędzny kęs chleba, często ścigani i pędzeni z kraju do kraju, wychodzący polscy bezustannie pocamionięci byli przez jedną myśl — wskrzeszenia Polski. Ani wiara ich nie pobiadła od straszliwych przygód, ani miłość ich nie ostygła od najostrzejszych uraz, ani czynność ich nie osłabła, ani siły ich nie opadły od trudu i zawodów. Zgoła przeciwnie, na każde zawołanie ludów, w groźne dni bojów i niebezpieczeństwa, pierwsi oni odpowiadali: Jestem. I jasnowłosy syn Polski stawał w pierwszym szeregu każdego powstania narodowego, uważając wszelki bój o wolność za bój o Polskę”.

“Ale nie cała ich ojczyzna była za granicą. Wtedy gdy jedna Polska szła na Zachód, ocalając ojczyznę przez opuszczenie kraju, druga Polska w kajdanach szła na Sybir, zbawiając ją męczeństwem. Co było tylko żywego, a niezanimiało, co żyło nadzieją, młodzi i starzy, kobiety, kapłani i dzieci, wszystko szło w śnieżne stepy...”

“Brakowało jeszcze jednej ofiary i ta dopełnia się teraz. Polska przebacza Rosji, Polska wzywa Rosję do braterstwa... Po tylu stratach, po tylu poświęceniach, poświęcają oni samą nawet nienawiść”.

I wzywał Hercen Rosjan: “Spieszcie się przyjąć wyciągniętą ku wam rękę”...

Wezwanie to pozostało bez echa. Hercen sam zwątpił wkrótce o racji bytu Polski niepodległej. W tym samym piśmie Kołokoł założonem przy polskiej pomocy, zaczęli radzić Polakom, by zaufali przyszłej rewolucji rosyjskiej i weszli z czasem w skład federacji słowiańskiej, na której czcile stanie przyszła Rosja, po-carska, jako głowa pokojowa nowego związku (mirnaja głowa nowago sojuza).

Na ćwierć wieku przez Hercenem, Aleksander Puszkina, w wierszu, napisanym z powodu rewolucji listopadowej polskiej, zalecał zlanie się strumieni słowiańskich w morzu rosyjskiem. Puszkina zapraszał Polskę, ja-



ADAM MICKIEWICZ

ko jeden ze strumieni słowiańskich, do rozplynięcia się w morzu rosyjskiem, wówczas białem, protoplaści przyszłej rewolucji rosyjskiej, deka-

bryści, Hercen, Bakunin, zapraszali ją do morza przyszłości, morza Rosji po-carskiej, do morza, jak się okazało, czerwonego.

Mały złodziej wart chłosty; lecz ten co kraj zdradza
Lubo tyle za sobą hańb, sromot sprowadza,
Iż owe sławne sosny z nad brzegu Pilicy
Jeszcze małe do składu jego szubienicy,
Przecież filut, wisielec, na co patrzeć zgroza
Wstęgi nosi na szyji co warta powroza.

Ignacy Krasicki.

MICHAŁ CHOROMAŃSKI

NOWE NOCE LISTOPADOWE

SZTUKA W 4 AKTACH

A k t P i e r w s z y

Coś w rodzaju niebieskookiej jawnoskiej karjatydy, dźwigającej na barach ciężar przymusowego milczenia i spokoju siedzi na kanapie, w środku pokoju oświetlonego karbitową lampką. Kariatyda dopiero dwa lata temu ukończyła gimnazjum Emilji Plater i nazywa się Urszula Swidrzyńska. Niczym niezmaczony pokój tej dziewczyny szczególnie uwypukla powojenny niedład pokoju. Strzałki na zegarze stojącym na pianinie wskazują kwadrans po ósmej. Jesteśmy w połowie listopada 39 roku w willi Swidrzyńskich na Zoliborzu.

URSZULA (zwracając się w próżnię, spokojnie z melodyjną bezduszną nością zegarynki) — Nie wiem, jak sobie poradzę z tym folksdeutschem, on już mnie chce pocałować! — Milknie, jakby czekając na odpowiedź. — Dziś o mało nie przelazł przez płot z nadmiaru uczuć. Tak przy tym wyglądał, że... Gdybym mogła walnąć bym go w twarz! Na szczęście stał za daleko. Że też Pan Bóg mógł nas obdarzyć takim sąsadem. — Przerwa. — Dawno mówiłam, że drań, ale nie chciano mi wierzyć. Nie! Ciępiśz na szpiegowanie! Zachorowałaś na piątą kolumnę. (Dymek od papierosa, coraz widoczniejszy, wznosi się powoli zza oparcia kanapy) — Każdy mówił, że sąsiad jak sąsiad! A to że się nazywa Krygier, to przecież dużo było dobrych Polaków Krygierów!... A teraz zachodzę w głowę, co dalej będzie?.. — Czekaj bezskutecznie na odpowiedź. — Co będzie dalej?

GŁOS, zza kanapy. — Słucham.

URSZULA — Przecież to on napewno podsyła tych szwabów, co się wieczorami szwędają po naszym ogrodzie. Może narazie żeby mnie nastraszyć. Ale już zaglądamy do okien. Jak gdyby coś weszli.

GŁOS — Może... — Zza oparcia ukazują się czyjaś dłoń, widoczna po przegub.

URSZULA — Popielniczkę? — Bierze ze stołu popielniczkę i składa ją między palce ręki, dłoń znika. — Niekiedy myślę, czy już nie czas nam się przenieść? Jak nas zdekonspirują, zbyt dużo ludzi wpadnie.

GŁOS — Poczekamy jeszcze.

URSZULA — Z drugiej strony, może i prawda... Bo jak się przenieśmy za wcześnie, to tylko wzbudziemy podejrzliwość.

GŁOS — Przenieśmy się na prowincję. — Znowu ukazują się dłoń z popielniczką.

URSZULA — Daj.. — Zabiera popielniczkę. Zza kanapy wstaje z podłogi wąsaty, o krzaczastych siwych brwiach, niewysokiego wzrostu starszy pan, we flanelowej piżamie, w filcowych z kwiatkami pantoflach, i w serdaczku. Dziadek Urszuli, pan Ryszard Swidrzyński najwidoczniej marźnie. — Dziadku, dlaczego nie położysz się porządnie na kanapie?

SWIDRZYŃSKI — Wolę na materacu, bo szerszy. Czy i dziś szwędali się po ogrodzie?

URSZULA — Około szóstej. Już się ściemniło. Ale tylko jeden. Bawarczyk.

SWIDRZYŃSKI — Zaglądał do okien?

URSZULA — Do narożnego, w gościnnym... Zresztą, ja nie robię paniki, dziadku.

SWIDRZYŃSKI — To teraz ich zwyczaj wchodzić do cudzych ogrodów.

URSZULA — Nic w takim zwyczaju nie widzę pocieszającego.

SWIDRZYŃSKI — Pewnie.

URSZULA — Pozatem, ja dziadku, jako kobieta, nie bardzo wiem, co robić? Wciąż te kwiaty! Codziennie! To nie chryzantemy, a macki..

SWIDRZYŃSKI — Nic nie znaczy. Kokietuj dalej.

URSZULA — Kiedyż..

SWIDRZYŃSKI — Kokietuj. — Po przerwie. — Skoro jednak jest folksdeutschem? Dlaczego nie nosi przepaski?

URSZULA — On? Przyznał by się do tego? Przy każdej okazji podkreśla że jest patriotą, ale apolitycznym. Widziałeś, kto u niego zamieszkał?

SWIDRZYŃSKI — Owszem, Niemiec. Ale skąd wiesz, może po prostu zarekwirował pokój?

URSZULA — Nic podobnego! Zamieszkał jak u przyjaciela! Odrazu widać! Płaz umundurowany! — Swidrzyński podchodzi do pianina i chrząka. Urszula tłumii leciutki uśmiech: wie doskonale co takie chrząknięcie ma oznaczać. — Zaraz po nim zazwyczaj następuje pedagogiczny zwrot ku przeszłości. Nad pianinem w istocie wisi duży owalny portret jej babki, Agnieszki z Gontwiłłów Swidrzyńskiej. Na portrecie wygląda młodo, tonie w koronkach.

SWIDRZYŃSKI, jakby od niechcenia. — Babka twoja też nie miała łatwego życia.

URSZULA — Była lepsza.

SWIDRZYŃSKI — Ale.. — chrząkając — ...ale — ci mężczyźni, ci nadskakiwacze żandarmi bali się jej nawet dotknąć. Tak ich wszystkich trzymała z daleka. Spokojem. Była bardzo spokojna.

URSZULA — Właśnie wciąż się boję, że nie potrafię się dobrze opanować. — Wzdychając. — Wszystko we mnie kotłuje. Myślę, czy wówczas nie widać.

SWIDRZYŃSKI, dość krytycznie przyglądając się wnuczce. — Nie... nieźle... Ale Agnieszka babka twoja była marmurowa!... — Pociągając rękę. — Coraz zimniej.

URSZULA — Chodziłam po szkło. Jeszcze niema. Nie możemy przecież wszystkich okien pozabijać dyktą.

SWIDRZYŃSKI — Jutro o dziesiątej rano Wilczyński obiecał koks przywieźć. Poczciwa starowina, naprawdę.

URSZULA — Mamy jeszcze ze dwa wiadra węgla.

SWIDRZYŃSKI — Ale powiadasz, drzewo do rozpałki — do niczego?

URSZULA — Mokrusiętkie!... — Za oknem rozlega się głuchy hałas, jak gdyby rzucono na ziemię worek z kartoflami, a potem przewrócono jakąś deskę.

SWIDRZYŃSKI — Oooo!!

URSZULA, wstając spokojnie. — Czuję, że oni cały czas pod oknami chodzą.

SWIDRZYŃSKI, zasłonił lampę. — Urszula zasłania lampę książką. — Zobaczymy z narożnego. — Wychodzą na prawo. Pokój pozostaje pusty. Na stole pali się lampka. Potem rozlega się skrobanie do drzwi wejściowych we wnęce na lewo i metalowy szcęk poruszanej gorączkowo klamki. Drzwi otwierają się i wraca Urszula.

URSZULA, do dziadka pozostałego w sąsiednim pokoju. — Napewno się schował. — Przymyka drzwi i nagle zamienia się w słuch. Skrobanie i brzęk klamki są coraz rozpaczliwsze. Urszula odruchowo biegnie na środek pokoju, ale w chwili następnej opanowuje się i krokiem niemal majestatycznym podchodzi do konsolki w kącie, stawiając tam i zasłaniając książką karbitową lampkę. Potem nasłuchuje pod drzwiami. Zarzuca szal i spokojnie otwiera drzwi na ulicę... Coś nakształt krótkotrwałego tornado dzieje się na progu i zmiata ją w bok. Jakiś mężczyzna, potrafiwszy Urszulę walizką, zatrzymuje się ciężko zdyszany w środku pokoju. Ur-

szula szybko przymknawszy wejściowe drzwi, bierze z konsolki lampkę i nie ukazując najmniejszego wzruszenia podchodzi do nieznanego i rzuca mu w twarz promień białego światła.

URSZULA, po chwili jak o rzeczy bardzo naturalnej. — Pan długo biegi?

NIEZNAJOMY, z trudem łapiąc oddech, dość wrogo — A kto pani... mówił, że biegłem. — Zasłaniając oczy od blasku. — Niech mnie pani nie oślepi.. Nie biegłem wcale.

URSZULA — O tak, to widać. — Po namyśle. — Pójdę, zapytam dziadka co z panem zrobić? Jak pańskie nazwisko?

NIEZNAJOMY — Górski, Mieczysław Górski.

URSZULA, uprzejmie ale zupełnie niedowierzająco kiwając głową. — O.. O tak... Tylko musi pan przejść do kuchni. Ja dziadka zawałam tutaj. — Górski trzymając kurczowo walizkę, idzie ku drzwiom na lewo, w głębi. Znika. Urszula za nim: — Proszę tam nie palić! — Zamyka za Górskim drzwi i nie spiesząc podchodzi do drzwi naprzeciwko, w których już się ukazała nasrożona postać Swidrzyńskiego. — Zdaje się, że to nasz. Może oficer?

SWIDRZYNSKI, cicho. — A jak się nazywa?

URSZULA, cicho. — Mieczysław Górski. Dajmy na to.

SWIDRZYNSKI — Czy pukał?

URSZULA — Właśnie, że skrobał. Jak weszłam do pokoju, od razu posłyszałam. Skrobie, a potem porusza klamką. Przysłuchiwałam się dobrą chwilę, zanim zdecydowałam się otworzyć. Wydał mi się człowiekiem ucieciwym.

SWIDRZYNSKI — Po czym to poznałaś?

URSZULA — Po oddechu.

SWIDRZYNSKI — Jak?

URSZULA — Niech dziadek lepiej przymknie drzwi, widać szparę. Czy ktoś był w ogrodzie?

SWIDRZYNSKI — Nie zauważyłem... Ale chodnikiem przeszedł patrol. Jak zawsze dwóch żołnierzy. Zatrzymali się na rogu, rozmawiając. Jak to, poznałaś po oddechu?

URSZULA — Ani złodziej nie byłby taki zdyszany, ani gestapowiec. Nigdy w życiu nie słyszałam czegoś równie hałaśliwego. Otwierając drzwi byłam przygotowaną, że zobaczę raczej sforę myśliwskich psów, niż jednego człowieka z walizką. Wyglądał, jak gdyby miał atak astmy.

SWIDRZYNSKI — Może...

URSZULA, ze spokojnym półśmiechem. — Napewno. Coś w rodzaju duszniczy okupacyjnej.

SWIDRZYNSKI — Przyniósł walizkę?

URSZULA, oglądając sobie ramię. — Pewnie, że przyniósł. Mam nawet siniec.

SWIDRZYNSKI — Oooo... Trzeba go będzie zobaczyć. — Razem z wnuczką podchodzą do drzwi kuchni, otwierają je i natychmiast zamykają

z rzenie, ręce mu drżą, jest spocony, ale oddycha już równiej. Swidrzyński przygląda mu się przez chwilę. — Czym panu mogę służyć o tej porze?

GÓRSKI, mrukliwie — Nie ma jeszcze wpół do dziewiątej.

SWIDRZYNSKI — Jeszcze? — Zamieniwszy spojrzenie z wnuczką. — Gdzież pan był przez cały czas,



MICHAŁ CHOROMAŃSKI
(rysunek Edwarda Głowackiego)

z powrotem. Potem spoglądają jedno na drugie ze zdziwieniem. Widziałas?

URSZULA — Tak. Trzymał się za gardło.

SWIDRZYNSKI, potrząsnawszy głową — Zawołaj go! — Urszula zasłania lampę i wpuszcza do pokoju Górskiego: ma jeszcze błędne spoj-

rze, jeśli nie wie że po mieście wolno chodzić tylko do siódmej?

GÓRSKI, z podełba. — Kto panu powiedział, że nie wiem. Po prostu, dopiero co przyjechałem do Warszawy.

SWIDRZYNSKI, najwidoczniej nie zadowolony z odpowiedzi. — Jednym słowem, czego pan chce?

GÓRSKI — Nie domyśla się pan? — Z trudem hamując gniew, ociera twarz. — Gościńności!. Zamiast odpowiadzi Swidrzyński gwizdże krótkim ironicznym gwizdnięciem, mającym oznaczać: "tetete, ptaszku!" Wtedy Górskim aż coś wstrząsa. — Jak pan śmie gwizdać!

SWIDRZYŃSKI, przyglądając mu się uważnie. — Przecież pana nie wyrzuciłem. Chcę tylko wiedzieć, co, jak, dlaczego?

GÓRSKI — Pańskim obowiązkiem, było mnie wypuścić nie pytając o nic! Skąd pan wie, czy ja mogę odpowiedzieć!

SWIDRZYŃSKI — A pan, skąd pan wie, że mogę pana wypuścić? — Bystre spojrzenie zpośród Górskiego, które przyłapuje Urszula.

URSZULA, półgłosem. — Dziadku.

SWIDRZYŃSKI, siadając na kanapie. — Niech pan usiądzie. — Górski siada obok, nie rozstając się z walizką, którą opiera o poręcz. Swidrzyński patrząc mu w oczy nie mrugając, uśmiecha się. — Zabawna rzecz, przypomniała mi się pewna powieść.

GÓRSKI — Nie znoszę literatury. Zwłaszcza w takich chwilach.

SWIDRZYŃSKI — ...razu jednego uciekł ranny oficer i szukał schronienia w prywatnym domu...

GÓRSKI, nagle — Aaa! Na żeńskiego pan mnie nie weźmie!

SWIDRZYŃSKI — Co to ma znaczyć?

GÓRSKI — Tyle tylko, że nie jestem ani rannym, ani wojskowym. — Wzywając wytrzymując spojrzenie starego. — Jestem cywil. Wysiedlono mnie z Poznania. Dojechałem do Warszawy o zmierzchu. A tu akurat stan wyjątkowy. Tak jest! Zanim doszedłem, było już zupełnie ciemno. Jak w mogile. Zresztą, nie znam miasta. To wszystko. Mało panu?

SWIDRZYŃSKI — A miał pan gdzie zamieszkać?

GÓRSKI — W ciemnościach pogubiłem się w numerach. Mam ciotkę na Placu Wilsona.

SWIDRZYŃSKI — Plac Wilsona? To pan trochę zabłądził... — Wstając. — Trudno. Niech pan zostanie. O świcie jednak proszę pójść. Tymczasem chyba w kuchni. Nie wiem, czy panu będzie dobrze się spało, ale czym chata bogata...

URSZULA — Kiedyż tam zupełnie mokra podłoga...

SWIDRZYŃSKI — Przyniosę baranicę. Mamy taką, że pan żadnej wilgoci nie uczuje. Wychodzi. Górski rozpina na sobie palto i maca zawinięte szalikami gardło.

URSZULA — Boli pana gardło?

GÓRSKI — Owszem, boli.

URSZULA — To niech pan palta

nie zdejmuj. Nie mamy jeszcze czym zaopatrzyć okien. Strasznie wieje.

GÓRSKI — Doświadczonym okiem oglądając nieład w pokoju. — Bomba?

URSZULA — Nie. Pocisk.

GÓRSKI, obojętnie. — Aha... — Wraca Swidrzyński, niosąc oburącz baranicę, rzuca ją na materac. Potem wyjmując z kieszeni puszkę szprotek.

SWIDRZYŃSKI — Oto szprotki.

GÓRSKI — Po co mi pańskie szprotki, nie jestem głodny.

SWIDRZYŃSKI — To zje pan jutro. Chleba nie mamy... Niech pan na mnie takim złym okiem nie patrzy. Czasy są teraz nienormalne.

GÓRSKI — Co pan mówi, czyżby?

SWIDRZYŃSKI — Człowieka to bombardowanie trochę zahukało. Jak kto przyjdzie, to nawet mimowoli trzeba się spytać... — otrząsa się i odrywa oczy od walizki — Po co i jak? — znowu zerka w stronę walizki, a potem wstaje udając, że czegoś nasłuchuje... — Trzeba się spytać, pan rozumie...

GÓRSKI — Nie. Bo nie jestem taki ciekawy. Nie pytam się do kogo przyszedłem. — Czujnie — Czego pan słucha?

SWIDRZYŃSKI — Wydało mi się, że na ulicy, ktoś się zatrzymał. Przed gankiem. — Urszula podnosi brwi, patrzy na dziadka. — Nie, nie, nie! niech pan siedzi! — Niewidzialna sprężyna podnosi jednak Górskiego z kanapy. — A może i słusznie. Niech lepiej wyjdzie. Szybko! — Wypycha Górskiego z kuchni w takim popłochu i tak szybko, że Górski zapomina na kanapie walizkę.

URSZULA — Dlaczego to dziadek zrobił? Przecież tam nikt nie chodzi.

SWIDRZYŃSKI — Chciałem zobaczyć, co on tu ma. — Podnosi walizkę i kładzie ją na stół: — Spójrz! — Z pod wieka wystaje kawałek gazety. Urszula pochyła się nad nią, nią, potem odwraca głowę i patrzy na dziadka milcząc. — Potrzyj z tej strony!

URSZULA — Co chcesz zrobić?

SWIDRZYŃSKI — Otworzyć. — Naciska zamek z lewej strony, zamek odskakuje. Naciska z prawej — bezskutecznie. — Psiakrew! z drugiej strony zamknięta. — Usiłuje podważyć wieko z boku i włożyć rękę do wnętrza. Dłoń jednak nie mieści mu się w szparze. — Urszulo!

URSZULA — To takie przykre zglądać do jego rzeczy.

SWIDRZYŃSKI — Do przyjemności nie należy, ale... — Znowu pochyła się, pokazując wnuczce rąbek gazety.

URSZULA, z powagą — Dobrze.

— Wkłada rękę do walizki i coś maca. — Bielizna.

SWIDRZYŃSKI — Patrz jeszcze. Broni nie ma?

URSZULA — Nie... Jakiś pas. Butelka! — Podważając wieko jeszcze bardziej i przyglądając się czemuś, co jest wewnątrz. — Koniak.

SWIDRZYŃSKI — A to co?

URSZULA, z zapartym tchem. — Ubranie.

SWIDRZYŃSKI — Wyciągnij kawałek. — Urszula wyciąga kawałek szarego rękawa. Oboje zamierają. Swidrzyński odwraca się w kierunku kuchni, potem rozkazującym szeptem: — Wyciągnij wszystko! szarpnij! — Urszula szarpie z całej siły, wydobywając na światło karbitowej lampki mundurową kurtkę feldgrau. Wstręt i zimna pogarda na chwilę zniekształca jej twarz.

URSZULA — Jakie to straszne. — Wypuszcza kurtkę z rąk, kurtka pada na kanapę.

SWIDRZYŃSKI, szeptem — Wepchnij z powrotem. I zaraz go zawołaj. Prędeż! — Urszula bierze kurtkę i wciska do walizki. — Zamknij! — Swidrzyński podchwytuje jej z rąk walizkę i stawia na kanapie. Urszula idzie ku drzwiom kuchni, otwiera je i woła.

URSZULA — Już może pan wejść. Tam nikogo nie było. — Górski wraca.

SWIDRZYŃSKI, zupełnie innym niż przed tym tonem. — My osobiście nie mamy się czego bać niemieckich patroli. Ale pana mogą się czepić. Dlaczego szedł? skąd? — Siadając. — Niechże pan weźmie te szprotki... Co dobrego słychać w Poznaniu?

GÓRSKI — Dobrego? Masakra!

SWIDRZYŃSKI — Cóż takiego?

GÓRSKI — Polakom nie wolno rwać chodnikami chodzić. Jak spotkają niemieckiego żołnierza czapki każą zdejmować. Rozstrzelują setkami.

SWIDRZYŃSKI, z udanym zdumieniem. — To pan powiada, że tak uciśkają ludność?

GÓRSKI, na baczności. — A pan się dziwi?

SWIDRZYŃSKI — W Poznaniu coprawda nie byłem. Ale uważam, że dużo przesady w tym, co ludzie gadają. — Górski sztywnieje. — Wiadomo, wojna nie jest romansem, ale z punktu widzenia politycznego... nie wiem, jak pan, ale...

GÓRSKI, wymijająco. — Polityką się nie zajmowałem.

SWIDRZYŃSKI, do wnuczki. — To tak, jak nasz sąsiad, prawda? On też mówi, że jest apolitycznym patriotą.. Nie mówmy więc o polityce, skoro pan jej nie lubi. Hm... Czy wolno wiedzieć, jakie było pańskie zajęcie?

Dokończenie nastąpi.



JÓZEF CHEŁMOŃSKI — WYPADEK.

WYSTAWA SZTUKI POLSKIEJ W DETROIT

Dzięki panu Bolesławowi Mastai, znanemu kolekcjonerowi sztuki polskiej i pracy Komitetu w którym szczególnie trudzili się pp. Franciszkostwo Januszewscy, otwarta została i trwa w Detroit przez cały czerwiec wystawa sztuki polskiej bardzo bogata i ciekawa. Cały szereg nazwisk mistrzów, których nie widzieliśmy na zeszłorocznym pokazie w Metropolitan Muzeum, jest tutaj reprezentowanych. Są też między innymi Maks Gieryski, Juljusz Kossak, Kędziński, Boznańska, Fałat, Jacek Malczewski, Rafał Malczewski, Pankiewicz, Menkes, Gottlieb, Zak, Stanisławski, Podkowiński, Stryjeńska i nieco obrazów najnowszych wśród których niestety, zakradły się i mniej wartościowe. Wystawa dowodzi, że jest w Ameryce sporo dzieł malarstwa naszego, zasługujących na pokazanie obcym. Dlatego należy się za jej organizację szczerze uznanie Komitetowi z Dr. Józefczykiem na czele.



EUGENJUSZ ZAK — CHŁOPIEC PIJĄCY

ALEKSANDER BREGMAN (Dla "Tygodnika Polskiego" z San Francisco)

D U C H B L A N K A

(KARTKI Z NOTATNIKA)

San Francisco, 5 czerwca.

W atmosferze powszechnego zniechęcenia konferencja w San Francisco dobiega powoli — bardzo powoli — końca. Nietrudno sobie wyobrazić końcową uroczystość, która bez względu na osiągnięte wyniki będzie pompacyjna i widowiskowa. Im mniejsze znaczenie mieć będzie podpisany dokument, tym szumniejsze będą frazesy towarzyszące składaniu podpisów pod Kartę z San Francisco.

"My, ludy Zjednoczonych Narodów..." — tak oto ma się zaczynać wniosek wstęp niewznieśłego dokumentu. Ileż zakłamania w tych pierwszych odrazu słowach! "We, the people" nie mieliśmy zaiste nie do powiedzenia na tej konferencji. — Przedstawiciele people'u cały czas pozostawali za drzwiami, podczas gdy małoduszni dyplomaci — według świetnego określenia hiszpańskiego socjalisty Indalecio Prieto — "odwrócili się plecami do dramatu, tyłem do publiczności, tyłem do ludu". Ludy świata chcą organizacji międzynarodowej, ale organizacji prawdziwej, nie zaś tej fasady, która wznosi się tutaj i która, cokolwiek głosić będzie propaganda, stanowić będzie ową "tarczę dla silnych i szyderstwo dla słabych", a których mówił Winston Churchill.

"Zjednoczone Narody"... Coraz mniej "zjednoczone", ale coraz ich więcej... Niczego ta konferencja nie wykazała tak dobitnie, jak właśnie faktu, że Zjednoczone Narody są coraz mniej zjednoczone. Któż tu bowiem jest ze sobą "zjednoczony"? Może Francja z Syrią i Libanem? Może Wielka Brytania i Jugosławja Tity? Może Sowiety i narody Ameryki Łacińskiej?

Istnienie konfliktów i rozbieżności jest rzeczą naturalną i zrozumiałą. Gdyby ich nie było — nie potrzebaby była organizacji międzynarodowej. Ale poco używać wyrażenia, które nie ma poprostu sensu? Dlaczego nie mówić o Lidze Narodów, czy czymś w tym rodzaju? Dlaczego czynić z nazwy instytucji symbol fałszu i zakłamania?

Jeżeli konferencja w San Francisco nie zdołała zjednoczyć "zjednoczonych" narodów, to jednak osiągnęła jedno: oto liczba tych niezjednoczonych zjednoczonych poważnie wzrosła. W dniu otwarcia konferencji był ich 46. W dniu zamknięcia będzie aż 50.

Ta inflacja nowych członków jeszcze bardziej zaciera pierwotny cha-

rakter uprzedzenia noszącego nazwę "Zjednoczonych Narodów". W założeniu swoim był to związek niepodległych, suwerennych narodów, zjednoczonych przynajmniej chęcią rozbicia Niemiec, oraz związanych wspólną deklaracją będącą powtórzeniem karty Atlantyckiej uzupełnionym przez proklamowanie t. zw. Czterech Wolności i zobowiązanie użycia wszystkich sił przeciw nieprzyjacielowi. A tymczasem do tego grona, z którego znikła Polska — pierwszy ze zjednoczonych narodów — dobrane zostały: Ukraina i Białoruś, nie będące wogóle państwami niepodległymi, następnie Argentyna, której sympatje wyraźnie były do tej pory po stronie osi i wreszcie ostatnia Danja, naród bardzo sympatyczny, ale który hołdował w tej wojnie zasadzie "niesprzeciwiania się złemu" i oporu Niemcom nie stawiał.

Tak czy inaczej pół setki flag powiewać będzie nad Operą w San Francisco w dniu końcowego przedstawienia. Będą trzepotały flagi narodów, których delegacje nie mogły sobie ani rusz przypomnieć, jak ich barwy "narodowe" wyglądają, jako że moskiewskiego chowu "Ukraińcy" i "Białorusini" nigdy ich przedtym nie widzieli... Będą trzepotały flagi, które nie oglądały żadnego w tej wojnie pobjowiska. I dalej nie będzie flagi polskiej — flagi skrwawionej w Warszawie, Tobruku, Monte Cassino czy Falaise...

Kto wie, może w tych warunkach nieobecność flagi polskiej mieć będzie jeszcze większą wymowę, niż w dniu otwarcia. W każdym razie bardziej niż kiedykolwiek nazwa "Zjednoczone Narody" brzmi jak szyderstwo.

MOGŁO BYĆ GORZEJ

Oglądając się wstecz na długie i smutne tygodnie tej może najtragiczniejszej w swej beznadziejności konferencji międzynarodowej, siłą rzeczy myślimy przedewszystkim o pustym krześle polskim. Pustym krześle — w przenośni zresztą tylko, gdyż na salach obrad nie pozostawiono nawet fotela dla delegata polskiego, prawdopodobnie aby ułatwić delegatom zapomnienie o popełnionej zbrodni.

Czy mogło być inaczej? Czy Polska mogła być reprezentowana w San Francisco? — Co do stanowiska mocarstw jałtańskich nie mogliśmy nigdy mieć żadnych złudzeń. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone trzymały się Jałty, jak tonący brzytwy, choć Rosja gwałciła ją bezustannie

we wszystkich dziedzinach. Anglicy i Amerykanie mieli wiele okazji aby wycofać się z hańbącego układu krymskiego; mogli przedstawić sprawę reprezentacji Polski samej konferencji tak aby została rozstrzygnięta przez głosowanie — zastosować do Polski procedurę jaka obowiązywała w stosunku do innych państw, nawet do faszystowskiej Argentyny. Ale lęk przed możliwością, że Rosja trzaśnie drzwiami, powstrzymał je. Zdobyły się na "nie" wobec zuchwałych żądań Mołotowa, ale na nic więcej.

Wolno nam, Polakom było mieć nadzieję, że przynajmniej inne państwa, owa masa mniejszych narodów, zagrożonych podobnym losem, zbuntują się przeciw dyktatorowi krymskiemu. Ale przecenialiśmy ich odwagę. Przez cały czas konferencji jeden jedyny delegat Nowej Zelandji Fraser (który wraz ze swym australjskim kolegą Evattem uznany będzie za czołową postać konferencji) powiedział parę słów w obronie praw Polski. Wszyscy inni milczeli, jak zakamieniali.

Toteż Polska nie mogła tu być reprezentowana. Możliwa była tylko fikcyjna reprezentacja wedle jałtańskiej recepty. Z początku, w marcu i kwietniu, wydawało się że takie oszustwo jest nie do unknienia. Ba, jeszcze na początku obrad coraz to ktoś przepowiadał, że delegacja "polska" zjawi się za parę dni.

Bogu dzięki, zostało nam to zaoszczędzone. Paradoks może — ale trzeba być wdzięcznym Stalinowi, że brutalnym przekreśleniem Jałty zapobiegł przynajmniej oszukaniu świata fikcją polskiej reprezentacji.

W ponurej kronice z San Francisco może to właśnie jest najjaśniejszym promieniem. Każdy z nas Polaków przeżył tu dużo przykrych, bolesnych chwil, wiele rozczarowań i zawadów. Ale zaoszczędzone nam zostały upokorzenia takie, jakie przypadły w udziale Czechom i Jugosłowianom. My nie mieliśmy tu polskiego Masaryka czy polskiego Subasica. Kandydat do tej roli musiał się zadowolnić wystąpieniem tu swojego "obserwatora"... Ten obserwator chyba doniesie p. Mikołajczykowi jakby wyglądał, gdyby się tu zjawił w roli przedstawiciela rządu "jedności narodowej" z nominacji pp. Mołotowa, Clark Kerr'a i Harrimana.

Cóż to za tragiczna rola być tu delegatem Jugosławji czy Czechosłowacji! Jeden z dawnych genewskich przyjaciół, zasiadający w którejś z komisji mówił mi w tych dniach: —

“Plakać się chce, gdy się widzi takiego Jugosłowianina czy Czecha. Wstaje, ręce mu się trzęsą, głos mu drży gdy czyta swe oświadczenie... Nigdy nie mówi z pamięci, zawsze czyta. Tekst jest oczywiście przygotowany z góry i aprobowany przez “wyższe” władze... A delegat sowiecki słucha uważnie i pilnuje, czy podwładny nie odchyła się czasem od instrukcji”.

Oczywiście żaden z nich nie może niczego zrobić dla swego kraju. — Współdziałają jedynie we wprowadzeniu świata w błąd fikcją, że oba kraje są reprezentowane i pozostają niepodległe. Coprawda po paru głosowaniach, w których głos Czechosłowacji i Jugosławji automatycznie szedł za głosem Sowietów, nikt prawie niema na ten temat żdnych złudzeń. Jugosławia i Czechosłowacja powszechnie wymieniane są jednym tchem wraz z Ukrainą i Białorusią, jako członkowie “bloku sowieckiego”.

Tak mało brakowało, by do pięciu głosów tego bloku nie doszedł szósty — przedstawiciela rządu polskiego, made in Moscow wedle jałtańskiej recepty. Taksamo byłby on bezsilny, taksamo nie mógłby niczego absolutnie uczynić dla Polski, taksamo musiałyby gardłować na rzecz też całkowicie sprzecznych z naszą racją stanu.

Ze się tak nie stało, to wielka rzecz. Nawet jeżeli zasługa w tym — Stalina.

A JEDNAK OBECNI

Dzięki przekreśleniu Jałty Polska nie jest w San Francisco reprezentowana. Ale nie znaczy to by Polska była tu nieobecna. Cień sprawy polskiej wciąż jeszcze kładzie się na obrady konferencji.

Niczym duch Blanka nieobecna Polska straszy w San Francisco. Flaga polska jest nieobecna w Operze, ale powiewa wraz z flagami innych Zjednoczonych Narodów (bez Ukrainy, Białorusi i Argentyny...) w oknie każdego niemal sklepu w San Francisco. I smutne zgromadzenie hamletyzujących delegatów, dyskutujących “być albo nie być” międzynarodowej organizacji, nie może widma Polski przepędzić. Na nie wszystkie zakłęcia i egzorcyzmy, na nie wszelkie “a kysz, a kysz”. Sprawa polska zatruwa atmosferę w San Francisco, choćby inne zagadnienia spychały ją na drugi plan.

Nawet przy uniknięciu niebezpieczeństwa fikcyjnej polskiej reprezentacji mogło się zdarzyć, że o Polsce byłoby tu głucho. Tak się nie stało. Znowu w pewnej mierze przyczyniła się do tego sama Rosja swymi posunięciami, zwłaszcza zaś aresztowaniem 16 przywódców. Ale niezależnie

od tego wszystko zostało uczynione aby niedopuszczyć do rzucenia na sprawę polską zastony śmiertelnego milczenia.

Wielka jest w tym zasługa Polonii amerykańskiej, a w szczególności Kongresu polsko - amerykańskiego, który nie szczędził wysiłków by przeszkodzić próbom usunięcia sprawy polskiej w cień. Szły odeń — formalnie do p. Stettiniusa, a w praktyce do całego narodu amerykańskiego — apeesze, memorjały, protesty i wołania o obronę praw Polski do wolności i bezpieczeństwa. Konferencje prasowe na których przemawiał p. Rozmarek, pani Rozmarkowa i prof. Halecki, memoriały w całości ogłaszane w prasie itd. walnie przyczyniły się do szerzenia prawdy o Polsce.

Wiele delegatów chciało zapomnieć o Polsce. Ale nie mogli.

CZEGO MOŻEMY SIĘ SPODZIEWAĆ?

A w przyszłości? Czy ta nowa Liga Narodów którą mozolnie buduje się tutaj w pracach które czasami wydają się syzyfowe, stworzy jakiegokolwiek możliwości obrony naszych praw i walki o naszą wolność?

Nie jest łatwo odpowiedzieć na to pytanie. Tymczasem nie wiadomo nawet czy ta organizacja międzynarodowa będzie wogóle zdolna do życia. Ba, zakładając że wszystkie wielkie trudności, które chwilowo udaremniają wszelkie postępy zostaną przezwyciężone i Karta zostanie podpisana, wcale nie jest jeszcze pewne, że dokument zostanie ratyfikowany. Będzie przecież rzeczą oczywistą dla narodów demokratycznych i żadna propaganda nie potrafi na stałe tego ukryć, że organizacja ma być nędznym parawanem dla rządów wielkich mocarstw, o ile zdołają one obudować swoją “jedność” i instrumentem utrzymania tych niesprawiedliwości, które tworzyć będą t. zw. pokój.

A jeśli nawet ratyfikacja nastąpi, to jeszcze zdolność do życia nowej Ligi będzie problematyczna. Pierwsze zastosowanie prawa weta przez któreś z mocarstw wykaże, że jest to domek z kart, pozbawiony wszelkiego znaczenia.

O ile nie nastąpi zasadnicza zmiana w sytuacji międzynarodowej i demokracje zachodnie, porzucając politykę a la Monachium, nie wymuszają na Rosji poszanowania niepodległości Polski i innych krajów Europy środkowej i wschodniej, to nie możemy się prawie niczego spodziewać po nowej Lidze. Dawna Liga nie była w stanie niczego uczynić dla naro-

dów ciemionych — tymbardziej nie dokona niczego znacznie mniej doskonała organizacja “Zjednoczonych Narodów”.

Niekórzy nasi przyjaciele zwłaszcza amerykańscy wskazują na pewne artykuły Karty jako otwierające możliwości obrony naszych praw. Mówią przytym w szczególności o prawie przyznanym Zgromadzeniu do dyskusowania wszelkich zagadnień, zwłaszcza zaś do “zalecania kroków celem pokojowego przystosowania wszelkich sytuacji, bez względu na ich źródło, które uzna za mogące naruszyć powszechną pomyślność lub przyjazne stosunki pomiędzy narodami”. Twierdzi się, że na tej podstawie Zgromadzenie będzie mogło zająć się tragicznym losem Polski, a nawet zalecić rewizję linii Curzona.

Nie brzmi to jednak bardzo przekonująco. Przedewszystkim zalecenia zgromadzenia nie będą miały charakteru wiążącego i nie ma żadnej podstawy by przypuszczać że Rosja cokolwiek będzie sobie z nich robiła. Co więcej obserwując choćby tę konferencję trudno spodziewać się, że ci sami ludzie, gdy zasiądą na podobnym zgromadzeniu tylko pod firmą “zgromadzenia organizacji Zjednoczonych Narodów”, wykażą więcej odwagi niż tutaj. Ze zdobędą się na to by publicznie protestować przeciw krzywdzie narodu polskiego, choć dziś milczą na ten temat jak zakłęcia. Jeżeli sytuacja pozostanie ta sama, lęk przed narażeniem się Rosji będzie tak samo paraliżował rządy i pacył charakter, jak na konferencji w San Francisco. Jeżeli natomiast sytuacja na świecie ulegnie zmianie, to — również i organizacja międzynarodowa będzie musiała ulec całkowitej przebudowie i powstanie prawdziwa organizacja, nie obecna karykatura.

Z drugiej strony, jeżeli ta organizacja wogóle będzie żyła, to jej ideą przewodnią będzie utrzymanie za wszelką cenę “jedności” wielkich mocarstw. Cenę oczywiście zapłacić będą musiały mniejsze państwa, tak jak płaciły ją w Teheranie czy Jałcie za krótkie przedłużenie tej “jedności”.

Trudno więc spodziewać się wiele dobrego po istnieniu tego rodzaju organizacji. Główną korzyścią jaką z niej może wynikać będzie tak jak na konferencji w San Francisco sposobność do apelowania — ponad głowami Rady czy Zgromadzenia — do opinii świata. Podeptane prawa Polski będą niezmiennie straszyć w gmachu pokoju, który usiłuje się na krzywdzie polskiej wybudować i zatruwać stosunki międzynarodowe, aż sprawiedliwości — tej sprawiedliwości, której pojęcie tak cynicznie jest tu nadużywane — stanie się zadość.

JERZY PACZKOWSKI

Żałobna wiadomość nadeszła z Londynu potwierdza oddawna krążące pogłoski o tem, że Jerzy Paczkowski, jeden z najzdolniejszych liryków młodego pokolenia, doskonały satyryk, przez pewien czas redaktor "Cyrulika Warszawskiego" schwytyany przez Niemców we Francji w sierpniu 1944 roku, jako jeden z najczynniejszych przywódców polskiego podziemnego ruchu w tym kraju poddany srasznym torturom zakończył w lutym męczeńskie życie w jednym z obozów śmierci koło Hamburga. Jerzy Paczkowski był przez pewien czas jedną z najpopularniejszych, najbardziej lubianych postaci młodego życia literackiego w Warszawie. Zjawiwszy się w roku 1926 jako młodziutki student filozofji z doskonałym wierszem satyrycznym do Jana Lechonia, naówczas redagującego "Cyrulik Warszawski" Paczkowski od razu stał się jednym z filarów piśma, sekretarzem redakcji a później po Lechoniu jego redaktorem. Jednocześnie z ukazującymi się na łamach "Cyrulika" wierszami satyrycznymi krzewił się młody talent liryczny Paczkowskiego. Ukazujące się raz po raz w różnych czasopismach ciepłe, delikatne, o precyzyjnej formie poezje zarówno jak niezliczone piosenki liryczne, śpiewane w teatrykach warszawskich, jak kuplety do "Szopek" w których współpracował najpierw z Hemarem, Słonimskim i Tuwimem, a później ze Światopełkiem Karpińskim i Januszem Minkiewiczem — zdobyły Paczkowskiemu własne miejsce w świecie literackim Warszawy. Paczkowski był benjaminem młodej literatury. Mały, drobny, o niezmiennie chłopięcym wyglądzie, nabożnie zakochany w dobrej poezji, twardy w politycznych swych przekonaniach, a w przyjaźni pełen bezgranicznego oddania był naprawdę już nie lubiany, ale kochany przez wszystkich. Przeniósłszy się do Paryża, aby tam pogłębić swą kulturę, został attache prasowym przy Ambasadzie; w roku 1939, gdy powstawało wojsko polskie we Francji, Paczkowski choć bardzo potrzebny w swej robocie natychmiast zaciągnął się i przeszedłszy przez Coetquidan, uczestniczył w kampanji francuskiej. Wzięty do niewoli, wydostał się z niej i powróciwszy do Francji od razu jako jeden z pierwszych i najmłodszych współpracowników Aleksandra Kawałkowskiego — stanął do pracy, organizującej polską armję podziemną. Wykonywując najtrudniejsze zadania, poświęcając się jakże niebezpiecznej robocie z uczuciem wzruszającego szczęścia, iż danemu jest narażać życie dla Polski jednocześnie napisał Paczkowski swo-



JERZY PACZKOWSKI (z lewej obok Felicja Lilpop-Krancova, Halina Rodzińska, Jan Lechoń)

je wiersze najbardziej własne, najdelikatniejsze, które nazwsze zostaną w polskiej liryce patriotycznej i miłosnej. Zabrane wraz z dawniejszemi w tomie pt. "Spotkanie z muzą", wydanym prześlicznie przez "Nicejską oficynę drukarską Samuela Tyszkiewicza" wiersze te będą trwały w naszej poezji pamiątką po Paczkowskim. Przy robocie ważnej i niebezpiecznej — wzięty przez Niemców, poddany przesłuchaniom, o których wiemy co znaczą, Paczkowski nie chcąc wydać innych próbował dokonać samobójstwa, ale "cukierki były złe", jak powiedział komuś z współwięźniów i czekało go jeszcze parę miesięcy straszliwego życia, zakończonego w piekle obozu.

Zostają po nim dwa tomiki — owe "Spotkanie z Muzą" czułe i delikatne

i tom dawniejszych satyr, wydany jeszcze w Warszawie pt. "Na ostrzu noża". I zostaje wspomnienie, które wśród jego przyjaciół nie zatrze się nigdy i będzie im przypominało życie piękne, w którym przyjaźń oddana i wierna zajmowała tyle miejsca. Paczkowski był zawsze tak skromny, tak nie starał się zająć sobą miejsca, że z pełnem wzruszenia zdumieniem myślimy, że tyle mógł znieść i dokonać. że to on właśnie będzie nazawsze jednym z symbolów nierozzerwalnych związków polskiej poezji i polskiej walki o wolność. Przyjaciele, naprawdę pokryci żałobą nie zapomną go nigdy. Jego wiernej towarzyszcze trudnego życia i szlachetnych zachwytów, mądrej, pięknej i dobrej Irenie Gabaud-Paczkowskiej ślemy te słowa niewygasłej pamięci o Jerzym i tej najgłębszej po nim żałoby.

Ci, którzy przeżyli wojnę bezpieczni, zdrowi i syci mają obowiązek pomóc ze wszystkich sił Polakom, którzy uratowali się z kaźni, którzy przeszli przez piekło i których trzeba powrócić do życia, odziać, nakarmić i pocieszyć polskiem słowem.

SZTUKA JAKICH MAŁO

Od paru tygodni święci na Broadwayu tryumf prawdziwej sztuka, która jest arcydziełem poezji i oryginalności, grana przytem tak, że widowisko to stanąć może obok najwyższych osiągnięć czołowych teatrów europejskich z okresu najświetniejszych reżyserów i gwiazd największych. Sztuka ta jest historją czterech osób i tylko cztery osoby widzimy na scenie przez cały wieczór. Treścią jej jest zdarzenie tak napozór błahe jak pierwsza wizyta młodego człowieka, w którym biedna matka dziewczyny-kaleki chce widzieć konkurenta, wizyta bez przyszłości, bo okazuje się, że młody człowiek jest już zaręczony.

I mimo tej pozornej błałości, w ramach biednego pokoju, nie pokazując niczego nadzwyczajnego — młody ale już sławny trzydziestoletni autor sztuki Tennessee Williams potrafił rozwinąć dramat jeden z najbardziej ludzkich i dramatycznie najbardziej zwycięsko oryginalnych, jakie powstały za naszej pamięci. Dla tych, którzy widzieli w teatrach nowojorskich tylko sztuki doskonale zbudowane lecz zimne i bez wdzięku i którzy na tej podstawie sądzą młody a niezwykle ciekawy teatr amerykański, "The Glace Menagerie", taki bowiem jest tytuł owego niezwykle dramatu, będzie prawdziwą rewelacją, pełnej ciepła i zarazem inteligencji głęboko ludzkiej poezji i ambicji dramatycznych w najszlachetniejszym gatunku. Historia biednej kulawej dziewczyny, która nie może marzyć o szczęściu i której szare, beznadziejne życie rozświetla tylko tajemnicze światło załamujące się w szklanych zabawkach, jedynej pięknej rzeczy, którą posiada, historia jej matki, której życie się nie powiodło i którą widzimy na jego schyłku, jako nieszczęsne stworzenie nierozumiejące niczego a zatroskana z czułością a zarazem najniezręczniejszą o innych opowiedziane są z uczuciem pełnym dyskrecji i zarazem z brawurą odkrywcy nowych dróg teatralnych.

Sztuka dzieje się jakgdyby na granicy rzeczywistości i fantazji, jest ona rekonstrukcją wspomnienia, co inscenizacja oddaje bardzo oryginalnie i sugestywnie.

Ale mimo tej mgły poetycznej, "The Glace Menagerie" ani na chwilę nie oddala się od ziemi, postacie nie stają się nigdy fantazjami autora, jak to często bywało u Acharda, czy Rittnera, pozostają ludźmi prawdziwymi, rzeczywistość rozświetlona poezją ani na chwilę nie przestaje być rzeczywistością.

Tryumf autora połączył się z try-



LAURETTE TAYLOR
w "The Glace Menagerie"

umfem dawno niewidzianej na scenie, a niegdyś jednej z największych amerykańskich aktorek — Laurette Taylor. Przy jej kreacji, inne postacie, grane przeciw znakomicie zeszyły na plan dalszy i sztuka stała się jakby dramatycznym portretem zahukanej przez życie starej kobiety, która jest zarazem głupia i wstrząsająco ludzka.

Laurette Taylor dała jej czar poezji niezrównany, głębię uczucia wyrażoną przez niedostrzegalne akcenty monotonnego ściszonego głosu każdy jej ruch, każde słowo są czyste, jakby somnabuliczną poezją, dramatem arcyłudzkiem, który, jak mówimy, dzieje się naprawdę, ale podniesiony jest przez wielką aktorkę do wyżyn symbolu.

Kreacja ta — będzie napewno legendą i jest jednogłośnie uznanym

szczytem tego, co pokazali aktorzy amerykańscy w ostatnich latach.

Sztuka jest sukcesem niebywałym. Publiczność szeroka zachwyca się nią jak krytyka; to także burzy niektóre zbyt powierzchowne nasze pojęcia o kulturze tego kraju.

POLSKI PENSJONAT — RENA FARM

Idealne miejsce do spędzenia wakacji w malowniczych górach "Berkshire". Dobra kuchnia, nowoczesny komfort, różne sporty. Dojazd w 3½ godziny z Grand Central Station, New York do stacji East Chatham, N. Y., skąd 5 minut do Rena Farm samochodem pensjonatu. Zgłoszenia przyjmuje: Irena Chelwicka, Rena Farm, East Chatham, N. Y.

WACŁAW SOLSKI

W ŁAZIENKACH

Pewnego letniego dnia trzynastoletni Józio Wąsowski siedział na ławce w Łazienkach z niejakim Stępowiczem, przyjacielem ojca, starszym i małymównym panem o białych, suchych rękach i zapadniętych piersiach. Dzień był ciepły, przepojony drgającym światłem i ciszą. Nad gęstym, szczerze zielonym trawnikiem, którego nikt nie przystrzygał, unosiły się ważki o wypukłych oczach z błyszczącego szkła. Nawet ptaki rozmawiały ze sobą przytłumionym i jakby zdziwionym głosem, jednosylabowo, i na nisko rosnącej gałęzi siedziało nieruchomo kilka tłustych wróbli, o nic się nie troszcząc i zapewne o niczem nie myśląc.

Był to dzień, pobudzający do zwierzeń. Józio Wąsowski mówił o tem, co oddawna leżało mu na sercu:

— Strasznie się cieszę, że pana tu spotkałem. Bo już tak dawno nie był pan u nas i zupełnie nie mam z kim rozmawiać. No tak, oczywiście, koledzy, ale ostatnio panuje u nas w klasie taka moda, gałęzi z siebie śmieją. Najwyżej o filmach można z nimi mówić, a z panem o wszystkim. I w domu też...

Józio zaczerwienił się i zamilkł. Pan Stępowicz spokojnie czekał, kreśląc na piasku laską podłużne i poprzeczne linje. Wróbli z rosnącej prawie u ziemi gałęzi zerwały się nagle wszystkie razem i pofrunęły w głąb parku.

— U nas w domu, — powiedział Józio — prowadzi się bardzo banalne rozmowy. Wie pan o czem? Mamusia była niedawno z panią Zułkowską w cukierni w Alejach, jadły lody i jeszcze coś. I później kelner

jak robił rachunek, powiedział: "Łajdy dwa złote, kawa i ciastka jeden sześćdziesiąt, grosik dla mnie na piwo, — razem cztery złote." I mamusia strasznie się obraziła i coś mu nagadała. I teraz jak tylko przychodzą goście mamusia zaraz im opowiada jak to było, a tatuś powiedział że napiwek ustala konsument i że kelner nie miał prawa. I już od tygodnia mówią o kelnerze.

— Pewnie, że razi. Bo ja myślę o czem innym i chciałbym żeby o tem mówił. Najwięcej myślę o przeszłości i co ze mną będzie za dziesięć lat. I nawet nie za dziesięć, tylko za dwadzieścia albo za trzydzieści, jak już będę zupełnie stary.

— Dorosły, a nie stary, — poprawił p. Stępowicz.

— Dorosły, — powtórzył Józio, i znowu się zaczerwienił, bo sobie przypominał, że pan Stępowicz już dosyć dawno przekroczył pięćdziesiątkę. — Więc najpierw sprawa kobieca. Kazik Grabowski z mojej klasy już się kocha od dwóch miesięcy i mówi, że się napewno z nią ożeni, i Janek też się kocha, albo może tylko udaje. Ale ja uważam, że prawdziwa miłość to jest zupełnie co innego i nie powinno się zwracać uwagi, czy ona tak wygląda czy inaczej lub jakie ma włosy tylko... Pana nie nudzi to co ja mówię?

— Nie, — powiedział szybko pan Stępowicz.

— Bo ja postanowiłem żyć dla ideału i moja żona musi złożyć taką samą obietnicę, w przeciwnym razie nie mógłbym jej kochać — mówił Józio. — Trzeba żyć dla innych, trzeba się poświęcać i jaknajmniej dbać o siebie samego. Tylko wtedy można znaleźć prawdziwe szczęście. Ja już to sobie wszystko obmyślałem i napewno będę szczęśliwy. I wie pan, jak czasami w nocy o tem myślę to później długo nie mogę zasnąć. Głowa mi się pali chciałbym jaknajprędzej skończyć szkołę, i tak m jest jakoś dobrze...

Józio patrzył przed siebie i nie już nie mówił. Pan Stępowicz wyciągnął z kieszeni prawą rękę. Miał w kieszeni drobne i kiedy Józio opowiadał o zajęciu w cukierni, pan Stępowicz chciał mu dać trochę pieniędzy na lody czy na ciastka. Robił to dosyć często, ale teraz oczy Józia płonęły takim blaskiem, że pan Stępowicz zaniechał swego zamiaru.

— Proszę pana, — powiedział Józio, — ja już kilka razy chciałem pana zapytać... Bo pan już wszystko przeżył, więc pan wie. Czy pana żona... czy to była prawdziwa, idejowa miłość?

— Moja żona była bardzo ideową kobietą — odpowiedział poważnie p. Stępowicz. — Pobraliśmy się w czasach, kiedy sprawy sumienia, wszystko to, o czem ty teraz tak dużo myślisz, było bardzo ważne, może ważniejsze niż teraz. Mieszkaliśmy początkowo na wsi, w pobliżu Łęczycy...

— Pan Stępowicz długo mówił o swojej żonie, która umarła przed wielu laty. Opowiedział jak się z nią zaznajomił, powtórzył pierwsze rozmowy. Później mówił o latach szczęścia, i o pewnym przykrym epizodzie, pewnym rozdźwięku, który powstał z jego winy i który on też niezwłocznie zażegnał. I wówczas życie popłynęło tak jak przedtem, dzięki tej jego decyzji na którą się przecież zdobył...

Wkrótce potem pan Stępowicz wracał sam do domu, wybierając najmniej uczęszczane aleje. Ale rozmowa z Józkiem jeszcze trwała. Pan Stępowicz opowiadał mu powtórnie z wieloma szczegółami swoje życie. I nagle przyszło mu do głowy, że przecież wszystko mogło być właśnie tak jak opowiadał, że mógł przyjąć decyzję o której mówił Józio, i wtedy wszystko byłoby inaczej...

W Alejach Ujazdowskich było dużo ludzi o świątecznych roześmianych twarzach. Pan Stępowicz poczuł do nich antypatję i skręcił w jedną z bocznych ulic. Dziwna rzecz, myślał, dżicci marzą o przyszłości, a ludzie starsi wiekiem o tem co minęło. Pierwsze marzenia zjawiają się w młodości, drugie zawsze przychodzą za późno...

JUŻ WYSZŁA Z DRUKU
KSIĄŻKA

KAZIMIERZA
WIERZYŃSKIEGO

"POBOJOWISKO"

(PO POLSKU)

Cena \$ 2.50

ROY PUBLISHERS

25 West 45 Street

New York 19, N. Y.

W POPRZEDNIM 23 (128) NU
MERZE "TYGODNIKA
POLSKIEGO"

Wiersze Wacława Iwaniuka: Dja-
log z rozsądkiem; Słowo retorycz-
ne, Fragment nocy; Władysław
Gieysztor: Wielkie Zadanie; Sta-
nisław Stroński: Si duo faciunt
idem; Stefanja Zahorska: Wyjątki
z historii "Trójimperjum"; No-
we rysunki Zygmunta Turkiewi-
za; Jan Lechoń: Świadectwo po-
ety; Ryszard Wraga: Poprawki
nie-historyczne; Piotr P. Yolles:
Sprawa Polski w Ameryce; Opi-
sane i Zdarzenia.

OPINJE I ZDARZENIA

ŚP. MARJA STROŃSKA-WASOWSKA

Nadeszły wieści, że wśród zamęczonych w Oświęcimiu była też Marja Kuczabińska-Wasowska, znana pod nazwiskiem Marji Strońskiej aktorka i recytatorka warszawska. Śp. Marja Strońska w okresie po poprzedniej wojnie była przez parę lat jedną z gwiazd polskich kabaretów artystycznych i zasłynęła pełną ekspresji dramatycznej deklamacją i me-odeklamacją.

ZGON LUDWIKA WERTENSTEINA

Dochodzi nas wiadomość, że podczas bombardowni Budapesztu zginął znany uczyony polski Dr. Ludwik Wertenstein, który parę miesięcy przedtem, ratując się przed śmiercią, przedostał się na Węgry. Zmarły był jednym z asystentów pani Curie i miał sobie wraz ze śp. Janem Danysem powierzone prowadzenie laboratorium radioaktywnego założonego przez nią w Warszawie. Był profesorem Warszawskiej Wolnej Wszechnicy.

ORDONÓWNA UMIERAJĄCA

Hanka Ordonówna, gwiazda ze złotych czasów teatrzyków warszawskich, jest podobno chora na suchoty i w tej chwili lekarze nie mają nadziei utrzymać jej przy życiu.

KU CZCI MICKIEWICZA W POLSKIM INSTYTUCIE NAUKOWYM

Cenna rzecz o Mickiewiczu, pióra znakomitego historyka Jana Kucharskiego, którą w tym numerze drukujemy — zarówno jak poprzednio zamieszczone przez nas prace Jana Lechonia i Leopolda Wellisza — były odczytane przez ich autorów na uroczystym posiedzeniu Instytutu Naukowego w dniu 3 maja, odbytem z racji ukazania się zbiorowego wydania dzieł poety po angielsku w redakcji prof. Noyesa. Na zebraniu tem prof. Manfred Kridl dał też niezwykle głęboką i pełną syntezę twórczości Mickiewicza a prof. Tadeusz Mitana mówił fachowo a zarazem ciepło o wartości pracy prof. Noyesa i o nim samym. Publiczności zebrało się jak zawsze na takich wieczorach w Instytucie bardzo wiele, całe zebranie było wzruszające i budziło wspomnienia najwyższej klasy tego rodzaju manifestacji w naszych stolicach.

NOWE PRACE PROF. ŚWIĘTOŚLAWSKIEGO

Prof. Wojciech Świętosławski, znakomity uczyony, wiceprezes Polskiej Akademii Umiejętności, ostatnio wy-

kładający na Uniwersytecie stanowym w Iowa, a stale zamieszkały w Pittsburghu — ogłosił najnowsze swe dzieło "Ebuliometric Measurements", które wydał wielki dom wydawniczy Reinhold Publ. Corp. w Nowym Jorku. Pozatem wyszedł drukiem odczyt prof. Świętosławskiego "The legend of Madame Curie", wygłoszony parę miesięcy temu na uroczystym obchodzie łącznym Polskiego Instytutu Naukowego i Columbia

University. Prof. Świętosławski przygotowuje też inną pracę, której tematem będą instrumenty zbudowane dla pani Curie celem pomiarów ciepła wydzielanego przez rad.

MAJA BEREZOWSKA W SZWECJI

Wśród Polaków, którzy odnaleźli się w Szwecji, znajduje się też doskonała rysownicza Maja Berezowska, sławna ze swoich lekkich i pełnych

"Nigdy nie przypuszczałam, że krem tyle zdziałać może!"



Heleny Rubinstein

ESTROGENIC HORMONE CREAM

3.50

Preparat oparty na naukowych doświadczeniach, stworzony dla Was, które tęsknicie za młodocianym wyglądem. Zawiera hormony estrogeniczne — równoważnik substancji tak obfitej w młodości, lecz zanikającej z wiekiem. Wyrobiony pod ścisłym, osobistym nadzorem wielkiej powagi w dziedzinie urody kobiet, *Heleny Rubinstein "Estrogenic Hormone Cream"* pomoże Wam osiągnąć piękność skóry, opóźniając działanie lat. Zapas na 30 nocy kosztuje \$3.50 i 20 procent fed. tax.



helena rubinstein

Na składzie we wszystkich pierwszorzędnych sklepach

wdzięku ilustracji do książek i również z rysunków frywolnych, ale zawsze w najlepszym stylu.

TADEUSZ FIJEWSKI ODNALAZŁ SIĘ

Wśród uratowanych z obozów koncentracyjnych znajdują się, jak donoszą z Londynu, jeden z najdolniejszych i najbardziej oryginalnych talentów młodego pokolenia Tadeusz Fijewski. Na krótko przed wojną Fijewski wysunął się do czołowej linii naszych aktorów. Była to fizyczność niesamowita, która świetnie pomagała talentowi: chudy, o wściekle dziecięcym wyglądzie o wyrazie zarazem nieodparcie komicznym i wzruszającym był Fijewski prawdziwą nazwieją naszego teatru. Nie wiemy, nie stety, w jakim obecnie znajduje się stanie i czy będzie mógł rychło powrócić do swej pracy. W każdym razie aktorzy polscy w Nowym Yorku powinni uczynić wszystko, aby wśród innych sprowadzić tutaj jednego z najcenniejszych, tembardziej, że Fijewski może nie tylko tutejszemu teatrowi przydać się — ale ma prawdziwe szanse amerykańskiej kariery w kinie.

WSTRZĄSAJĄCE WIDOWISKO

Ostatni program aktualności w kinach nowojorskich był napewno jednym z najbardziej wstrząsających widowisk, jakie wogóle kiedykolwiek dane nam było oglądać. Dowiódł on jak nigdy może, jakie niebываłe możliwości stoją przed kinem, jaką może być on nauką, jakie może oddać przysługi dokumentacji historycznej i do jakich szczytów sztuki może wznieść się w tem notowaniu rzeczywistości.

Sławne zdobycie Iwo Jima sfotografowane zostało w kolorach tak dokładnie, że przez cały czas akcji wojennej od ataku z oceanu — do zdobycia szczytu wyspy śledzimy każde poruszenie się wojsk amerykańskich w odległości paru kroków, słysząc nie tylko wszystkie odmiany głosów maszyny wojennej, ale niemal głos umierających żołnierzy. Ci, którzy ten film zrobili, byli to zarazem artyści niebывали i ludzie nieustraszeni. Klasa obrazu jako kompozycji jest tak wspaniała, że wierzyć się nie chce, że ta bitwa nie pozowała do kina, że fotograf musiał tu z narażeniem życia podkraść się do modelu.

Są sceny w tym filmie wstrząsające, zadziwiająco ludzkie, tragiczne, jak moment, kiedy żołnierze, niosący innego, muszą go porzucić aby ratować własne życie. Są chwile o epickim, homerowym rozmachu, które się ogląda, jakby się słuchało wspaniałej wojennej sagi. I wstyc to powiedzieć — szły bojowy floty, szturm, nocny robiący naprzemian wrażenie piekła i jakiegoś fantastycznego popisu pirotechniki — mają w

sobie coś porywającego; nie widząc w tym momencie ludzi zapominamy na chwilę, że to jest nie protechnika tylko prawdziwe piekło. Sławna scena wznoszenia flagi amerykańskiej na szczycie wyspy, którą uwieczniła dziś już historyczna fotografia nagrodzona przez nagrodę Pulitzera i która będzie chyba nazawsze symbolem amerykańskiego zwycięstwa, przez to, że właśnie stała się legendą — robi wrażenie patetycznego teatru; jej artystyczne piękno nie pozwala nam wierzyć, że to było życie.

I jeszcze jeden jest obraz kilkunutowy w tym programie, który ma szekspirowski patos i nazawsze zostanie. To sceny poddawania się wodzów niemieckich, którzy jeszcze rok temu byli tak pyszni a dziś ukazują się nam na dnie losu złamani i drżący o życie. Znowu ma się wrażenie, że to są aktorzy — tak niebывала jest wymowa dramatyczna ich twarzy. Goering oddający order a później nagabywany przez dziennikarzy i nie mogący panować nad straszliwym łękiem, Doenitz, istne wcielenie kamiennego okrucieństwa, von Rundstedt, kryjący pod maską nieposzlakowanej wojskowej elegancji tragiczne poczucie końca, wstrząszone niedostrzegalnymi ruchami ust, Kesselring — śmiejący się przesalnie i chcący tem pokryć niepokój. Regent węgierski Horthy z którego twarzy można czytać tragiczną i pełną melancholji rezygnację człowieka, którego zniżyła historia. I wreszcie — żona i córka Himmlera, nie samowite jak wiedźmy z Macbeta; ma się wrażenie, że tylko tak mogły wyglądać istoty, które temu potworowi były najbliższe.

CO ROBI TEATR ARTYSTÓW?

Nieraz mówiliśmy na stronkach "Tygodnika" o wielkiej roli kulturalnej, jaka stoi przed Teatrem Artystów w Nowym Yorku, zawsze poświęciliśmy, ile można było miejsca manifestacjom artystycznym tego zespołu i rozważali je z największą życzliwością i staraniem. Mamy więc teraz przyjacielskie prawo zapytać się: "Co się z tym teatrem stało?", "Co robi?", "Co przygotowuje?" Wiemy, że warunki, w jakich artyści nasi pracują są niezwykle trudne. Ale wszystko co Polacy dziś robią na uchodźstwie jest niełatwe a niemniej jednak mówiąc, bez patosu, jest to też żołnierski obowiązek każdego robić, to co umie, możliwie najlepiej. Jest w Nowym Yorku sił aktorskich, zwłaszcza kobiecych podosttkiem i można napewno, pokonując owe trudności, robić doskonałe przedstawienia. Ale na to trzeba przedewszystkiem skupić wszystkie te siły, wzmocnić je temi, które uratowały się w Europie i którym należy się

lepsze życie w Ameryce. Nasz Teatr Artystów jest własnością moralną ogółu i mamy prawo domagać się, aby grał, bo to jest jego społeczny obowiązek, wobec którego przedwojenne czarujące nieraz "Kaprysy Marjanny", Józia, Kazia, Stasi czy Frani muszą ustąpić.

POSZUKIWANIA

Szczucki Władysław i Bronisława, Leszczyński Kornel i Helena, Popiel Julian i Sabina, Zurawicki Piotr i żona Maria z Domu Zinek, ze wsi Melucha, pow. Stanisławów, poszukuje Szczucki Józef, syn Tytusa.

Salach Nikodem z Drabinionka, pow. Rzeszów, poszukuje Katkowski Michał.

Piowareczyk Adolf, gm. Chełmek, pow. Chrzanów, poszukuje Sasko Stanisław.

Piotrowski Jakób, wieś Ruś, pow. Łomża, poszukuje Kapelewski Władysław.

Bronisławska Helena z Darzeń, pow. Płock, poszukuje Gurski Mieczysław.

Lenkiewicz Antoni z Hołodziszki, Gm. Orany, poszukuje Lenkiewicz Stan.

Zwizak Antoni, syn Piotra, ze wsi Litwa, gm. Rubaszewice, pow. Wołotyń, woj. nowogród, poszukuje go szwagier Dziedziczko Józef.

Wagner Bronisław i Marian, Pawłowska Michalina, Wiżowska Emilia, mieszkali w Cohoes, N. Y., na ulicy Saratoga, poszukuje Wagner Leon.

Kojro Stefania, ze wsi Kowali, pow. Święciany poszukuje Ciuksza Aleks.

Wroniewski Teodor z Karniewek, pow. Pułtusk, poszukuje Wroniewski Kaz.

Nowakowska Maryc, z kol. Helenówka, poszukuje Kondratwski Teodor.

Wilczyński Piotr, właściciel fabryki, poszukuje Wilczyński Józef.

Rusak Józef z pow. Małodeckiego, poszukuje go Szabliński A.

Janusz Konstancja, poszukuje ją Iwaszkiewicz Julian.

Lenkiewicz Dorota, wieś Dazachów, pow. Trembowla, poszukuje Dybikowski, zięć.

Okajewicz Dmnik z Nowostawiec, poszukuje Osińska Zofia, siostrzenica.

Bereziuk Michał wieś Jastonów, pow. Kopyczyńce, poszukuje Rakoczy Władysław.

Karnauch Olga z Boruny, woj. Wilno, poszukuje Osipowicz Paweł.

Czajkowska Maria z Różyckich, z Jastawiec, poszukuje Marcinkowski Kazimierz.

Ktokolwiek zna wyżej wymienione osoby, lub same przeczytają, proszę pisać po listy do: Charles Ówiakała, 2327 W. Charleston St., Chicago 47, Illinois.